

ŻYWOT
Błogostawionego Jana Vianney,

Proboszcza z Ars,

treściwie opowiedziany

PODŁUG ŹRÓDEŁ FRANCUSKICH.

przez

Ks. ADOLFA PLESZCZYŃSKIEGO

Proboszcza Maciejowickiego Kanonika Katedry lubelskiej.

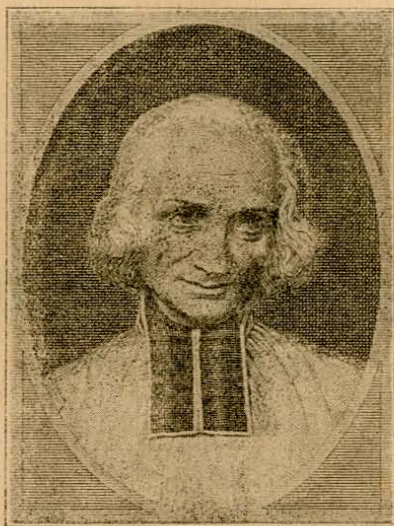


WARSZAWA,
DRUK „POLAKA-KATOLIKA“ KRAK-PRZEDM. 71.

1917

150

ŻYWOT
Błogosławionego Jana Vianney
Proboszcza z Ars.



BŁOGOSŁAWIONY J. B. M. VIANNEY
Proboszcz z Ars.

(Prawdziwy wizerunek).

ŻYWOT Błogostawionego Jana Vianney,

Proboszcza z Ars,

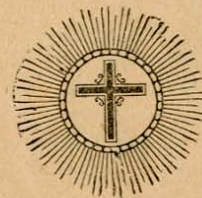
treściwie opowiedziany

PODŁUG ŹRÓDEŁ FRANCUSKICH.

przez

Ks. ADOLFA PLESZCZYŃSKIEGO

Proboszcza Maciejowickiego Kanonika Katedry lubelskiej.



WARSZAWA,
DRUK „POLAKA-KATOLIKA“ KRAK.-PRZEDM. 71.

—
1917

№ 601.

„LICET IMPRIMATUR“

Lublina, die 19 Aprilis 1916 an.

Administrator Dioecesis
Canonicus Cathedralis *Zeno Kwiek*.

Regens Cancellariae
Canonicus Cathedralis *L. Kwiek*.



Geprüft und freigegeben

Presseverwaltung Warschau, I.VI 1917. № 5833.

I. Powołanie.

„Gdzie przechodzą święci, tam
przechodzi Bóg z nimi”.
Słowa proboszcza z Ars.

W roku 1772, świątobliwy żebrak Benedykt-Józef Labre*), zatrzymał się w Dardilly, wiosce południowej Francji, w skromnym domku, należącym do rodziny Vianney, a z nim widocznie spłynęło błogosławieństwo Boże w te progi, gdyż w kilka lat potem urodził się w tym domku przyszły święty Proboszcz z Ars. Jałmużna z modlitwą połączona nigdy bez błogosławionych skutków nie pozostaje. Bóg obdarzył ubogich, ale miłosiernych, wieśniaków synem, z którego miał wyrosnąć jeden z najzasłużeńszych Jego sług, jeden z najgorliwszych Kapłanów naszych czasów. Jan Chrzyciel-Marya Vianney ujrzał światło dzienne r. 1786. Rodzice jego byli rolnikami. Działanie łaski zdawało się uprzedzać w nim rozwój rozumu. W trzecim roku życia, okazywał On już zamiłowanie do samotności i modlitwy. Widziano go często, jak gdzieś w kącie domu ojcowskiego, obórki, lub ogródka szeptał Ojciec nasz, Zdrowaś Marya i inne modlitewki, których go nauczono. Matka jego, Maryanna, prawdziwa matka chrześcijanka, śledziła w dziec-

*) Benedykt Labre—policzony w poczet świętych przez Papieża Leona XIII.

ku budzące się myśli i zwracała je ku Bogu — za to też syn zawsze był jej wdzięcznym. Przypisywał on matce co miał w sobie dobrego, i mawiał często: „Cnota przychodzi z serca matek do serc dzieci. Dzieci chętnie robią to — co robią starsi, a zwłaszcza ich rodzice“.

W tym czasie wybuchła we Francji rewolucja, która Ojczyznę i Kościół pograżyła w przepaść nieszczęść i niedoli. Domy Boże i seminaria pozamykano, duchowieństwo poszło na wygnanie, lub do więzień, a nawet i na śmierć męczeńską. W takich czasach nie było mowy o nauce i młodziutki Vianney, zamiast do szkoły szedł w pole, aby paść tródkę rodzicielską, która się składała z jednego osiołka i trzech owieczek. Zabierał on z sobą statuetkę Najśw. Maryi Panny i przyszedłszy na pole, ustawiał ją na jakimś wzniesieniu, lub w dziupli drzewa i gdy owce skubały trawę, on sam, lub ze zgromadzonemi dziećmi, modlił się lub śpiewał pobożne pieśni na cześć Matki Bożej. Wieczorem wróciwszy do domu, często, nim się udał na spoczynek, wyczekiwał na drodze, aby zapraszać do chaty na nocleg spotkanych ubogich — dzielić się z nimi, danym mu od rodziców chlebem i odmawiać z nimi „Anioł Pański“ oraz akty wiary, nadziei i miłości. W miarę jak wzrastał mały Jaś, zajęcia jego coraz bywały trudniejsze i cięższe. Mając lat 13 już dzielnie motyką i rydlem pomagał ojcu w winnicy i w polu.

Co go najbardziej wszystkim zalecało, to niezrównana pilność w robocie, posłuszeństwo i nigdy go nieopuszczająca wesołość. Matka stawiała go za przykład w rodzinie. Mimo ciężkiej pracy zawsze znalazł sobie czas na modlitwę. Idąc lub wracając od roboty, miał zwyczaj odmawiać różaniec, nie zwracając uwagi na przycinki i szyderstwa, jakimi go nieraz obsypywali zepsuci towarzysze. Tak spędzona młodość, jakby w ciągłym obcowaniu z Bogiem i z Najświętszą Maryą Panną, nic dziwnego, pozostała nieskalaną.

„Ja nie znalazłem złego, mówił Ks. Vianney, wspominając piękne lata młodości, dowiedziałem się o niem dopiero w konfesyonale z ust grzeszników“. Jezus Chrystus był jedyną jego miłością: ślubował mu swoją czystość, jeszcze przed przyjęciem pierwszej Komunii Ś-tej. Stało się to w stodole, dokąd wozy z sianem zatarasowały wejście. Tam to, kilku księży powróciwszy tajemnie do Francji, ukradkiem gromadziło dzieci, przygotowywało do pierwszej Komunii Ś-tej i wreszcie dopełniło tego wielkiego Aktu religii.

Pierwsza Komunia Ś-ta, przyjęta w takich okolicznościach, wywarła nadzwyczajne i nigdy niezatarte wrażenie na pięknej duszy naszego młodzieńszka.

Tymczasem prześladowania ucichły. Napoleon poskromił rewolucję, a zostawszy Cesarzem Francji, porozumiał się z Papieżem i przywrócił Religię Francji, a Kościołowi pokój.

Ks. M. Balley został Proboszczem Parafii Ecully, którą obsługiwał z ukrycia podczas burzy rewolucyjnej, a do której należała wioska Derdilly. Od pierwszego wejrzenia poznał Szanowny Pleban w młodym Jasiu, że Bóg chce mieć z niego swego sługę i pasterza dusz i natychmiast wziął go do siebie i zajął się jego kształceniem. Lecz chłopiec, o ile jaśniał świętobliwością, o tyle szwankował na zdolnościach umysłowych. Rozwijał się on zbyt powolnie, pamięć miał bardzo krótką. Pomimo wielkiej pilności, postępy w naukach początkowo były prawie żadne. Ze dwadzieścia razy chciał rzucić książki i wrócić do rydla, tyleż razy nauczyciel umiał go od tego powstrzymać. Z płaczem błagał Niebios, aby go oświeciły i pozwoliły mu „być kapłanem i zdobywać dusze dla Boga“; w tym celu podwajał jałmużny, odbywał pielgrzymki do miejsc uświęconych cudami, pomiędzy innemi do grobu Ś-go Franciszka Regis i ciągle pędził życie bardzo surowe i pokutnicze. Tyle szlachetnych wysiłków nie zostało bez nagrody. Bóg zesłał ła-

skę upragnioną i umysł Jana Vianney, z podziwem nauczycieli, którzy już zwiątpili o tętym uczniu, rozwinął się raptownie.

Zaledwie wyszedł zwycięsko z tej próby, gdy nowa cięższa go nawiedziła.

W roku 1809 t. j. w trzy lata po losowaniu wojskowem, w chwili gdy miał zamiar wstąpić do seminarjum duchownego, otrzymał rozkaz wyruszenia na wojnę do Hiszpanii.

Ks. Probosz Balley starał się uwolnić go od służby żołnierskiej, utrzymując wobec władzy wojskowej, że jego protegowany, jako zapisany już na listę seminarzystów, powinien być zwolniony od służby wojskowej, lecz wszelkie przedstawienia były bezskuteczne i młody kandydat do stanu duchownego był zmuszony udać się, jako rekrut, na granicę hiszpańską.

Wyruszył więc w drogę. Serce miał złamane, widząc zniweczone wszystkie swoje nadzieje. Zdał się jednak w zupełności na wolę Bożą; to też Bóg nie zawiódł ufności sługi swego i tak pokierował jego krokami, że mógł uniknąć służby wojskowej, tyle sprzecznej z jego powołaniem. Choroba bowiem zatrzymała go w Lijonie,

Młodszy brat Franciszek zastąpił Jana w szeregach żołnierskich, a nasz młodzieniec po czterech miesiącach tułaczki wrócił do rodzinnej wioski. Wtedy, już bez przeszkód proboszcz Balley umieścił swego wychowanka w Seminarjum Ś-go Ireneusza w Lijonie. W szkole duchownej Jan Vianney żył jak anioł i swoją skromnością, łagodnością zjednał sobie serca swoich kolegów i przewodników. Ale ciężka próba czekała go jeszcze na progu wyższych święceń. Nauczyciele, niemniej jak i towarzysze podziwiali jego ściśle przestrzeganie ustawy seminarjskiej i wzrastający z dniem każdym zapal w służbie Bożej, cenili też stanowczy jego umysł, trafność sądu, ale na ogół był on tak mało wykształcony, że Zwierzchność seminarjska wahała się z przedstawieniem go do święceń. Nie mogąc

zdecydować się, co dalej należy czynić, przełożeni udali się do Rządcy Dyecezyi Ks. Courbon, przyjaciela Proboszcza Balley i prosili o decyzję. Ks. Courbon dał przychylną odpowiedź i młody teolog otrzymał święcenia kapłańskie 1815 r., mając lat 29.

Proboszcz Balley zrobił Ks. Jana swoim Wikaryuszem, otrzymawszy na to zgodę Władzy. Młody więc kapłan pośpieszył z Grenobli, gdzie otrzymał święcenia, wprost do rodzinnej swej parafii.

Czcigodny starzec, który prowadził pierwsze jego kroki na drodze Bożej, pragnął dokończyć swego dzieła. W przeciągu dwóch lat wtajemniczył on młodego swego Wikaryusza we wszystkie tajniki cnoty, niezbędne dla dojścia do doskonałości kapłańskiej. Zrobili oni pomiędzy sobą układ, że pacierze kapłańskie odmawiać będą zawsze wspólnie, o jednej godzinie, że nigdy nie będą nocować za domem, że co miesiąc poświęcą jeden dzień na rekolekcyę, a co rok odprawiać ćwiczenia duchowne.

„Byłbym się wreszcie poprawił, mawiał później Proboszcz z Ars — gdybym był miał szczęście dłużej żyć z Ks. Balley“.

By zapłonąć ogniem miłości Bożej, dodawał on jeszcze o Ks. Balley, wystarczyło słyszeć, jak on mawiał: „Boże mój, kocham Cię, całym sercem kocham Cię! Powtarzał to co chwila za dnia, gdy był sam, a na wieczór powtarzał nieustannie, aż zasnął“.

Proboszcz Balley, przyzwyczajając młodego Wikaryusza przykładem swoim do umartwienia i zaparcia siebie. Nikt niema pojęcia, do jakiego stopnia byli obaj: mistrz i uczeń, wstrzemięźliwi w jedzeniu. Kawalek mięsa i trochę kartofli starczyło im na kilka dni „aż zczerniało to mięso, ciągle wracając na stół“ powiedział raz Proboszcz z Ars. Ks. Balley przyzwyczał ukochanego swego Wikaryusza do rozdawania biednym wszystkiego co posiadał, aż do ostatniej szaty; zostawił mu w spadku dyscyplinę i włosiennicę; wreszcie oddał Bogu

duszę, „najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałem“, mówił Ks. Vianney.

Urobień ducha kapłańskiego w młodym księdzu dyło zupełne; stał on jakby naczyniem, wybranem przez Samego Stwórcę dla zgromadzenia w niem dobrych uczynków.

Po śmierci Ks. Balley parafianie Ekalejscy błagali Ks. Vianney, aby został z nimi, jako ich pasterz i tak nagrodził niepowetowaną dla nich stratę. Lecz wszelkie prośby i nalegania nie mogły przelamać skromności młodego Wikarego. Czuł się on niegodnym tak ważnego stanowiska. We dwa miesiące jednak potem z polecenia swojej Władzy zmuszony był przyjąć probostwo w Ars, które objął 7 Lutego 1818 r.

II. Proboszcz.

Rola ewangeliczna, którą Ks. Vianney miał uprawiać, była zarosła cierniem i chwastem.

Rządca Dyecezyi, wysyłając go do tej Parafii, oznajmił mu o tem, zresztą, po krótkim pobycie w Ars, sam to dowodnie mógł stwierdzić.

Biedny, wiejski kościółek był prawie zawsze pusty, Sakramenta zaniedbane, święta sponiewierane, a zato karczma zawsze pełna, a w niej tańce i hulanki, weszły jakby w obyczaj. Młody pasterz widział z bólem serca, że owieczki jego, obojętne były na wszelkie praktyki religijne, a chciwe na wszystko, co obiecywało zabawę i uciechę. Patrząc na to, Ks. Vianney mawiał z przerażeniem: „Ja tu nic nie zrobię—a duszę moją zgubię“. Lecz miłość prędko zwalczyła to pierwsze wrażenie i zapaliła jego gorliwość. Postanowił ratować ten lud, a nawrócenie powierzonych mu parafian będzie pierwszym z jego cudów.

Modlitwa jest główną bronią kapłana; proboszcz z Ars prawie zamieszkał w swoim osamotnionym kościele. Od świtu do wieczornego „Anioł Pański“, z małemi przerwami przez dzień cały kłę-

czał on u stóp ołtarza. W południe opuszczał swoje stanowisko Adoracyi Najświętszego Sakramentu i przyjąwszy lekki posiłek, przygotowany własnymi rękami, szedł, aby nawiedzić swoich parafian. Gdy cała rodzina zebrana była przy posiłku, zjawiał się Pleban, pozdrowiał gospodarza domu, popieścił dzieci, uśmiechnął się do każdego i wsparłszy się o krzesło, podczas obiadu mówił o Bogu i świętych Jego.

Nikt ze słuchaczy nie zwracał uwagi na jego wątłą postać, lub na zniszczoną sutannę, lecz jedni zachwycali się, patrząc na surowe rysy, ożywione potęgą ducha i jakimś urokiem niewinności, drudzy porwani byli duchem pobożności, jaki się przejawiał w całej jego postaci; jedni jak drudzy byli przekonani, że mają przed sobą niepospolitego człowieka. Nic też dziwnego, że prawie mimowolnie poddawali się nieopisanemu czarowi świętości, co już było początkiem nawrócenia. Gdy kończyła się chwila odpoczynku i rolnicy zabierali się do swoich zajęć i Proboszcz wracał do kościoła dla dokończenia modlitwy. W nocy zamykał się on w zakrystyi i tam starannie układał swoje kazania niedzielne. Pisał je zawsze, uczył się na pamięć i powtarzał głośno.

Nauki te, a bardziej jeszcze czyny, nieprzepracie torowały drogę do serc parafian. Coraz więcej było takich, co lgnęli do swego pasterza, a idąc za jego głosem, postanawiali sobie nietylko w niedzielę, ale i codziennie być na Mszy Ś-iej, a wieczorem gromadzić się dla wspólnego odmówienia Różańca, i tak urządzali swój czas, aby nigdy nie ustawała Adoracya Najświętszego Sakramentu.

W liczbie dusz, które pleban najpierw całkowicie pociągnął do Boga, była jedna z pań wielkiego świata, panna d'Ars,— a dalej — prosty, biedny wieśniak. Dama wielkiego świata, miała zamiłowanie w dobrych uczynkach; była niestrudzoną pomocnicą we wszelkich miłosiernych uczynkach swego Pasterza; wieśniak kochał się w modlitwie

i rozmyślaniu. Spotykano go często w kościele, a Pleban, który go obserwował uważnie, widział ze zdumieniem usta jego wiecznie zamknięte i nieruchome, powiedział mu więc pewnego razu: „mój przyjacielu, co też mówisz naszemu Zbawicielowi, podczas długich odwiedzin, jakie Mu składasz codzień i kilka razy dziennie“?

— Nic Mu nie mówię; ja na Niego patrzę, a On patrzy na mnie“, odpowiedział wieśniak.

Naiwna i wzniosła odpowiedź napeliła Plebana z Ars podziwem dla tego człowieka, a wdzięcznością dla Boga, który oświeca nieumiejętnych tajnikami doskonałości. Powoli kościół się zapęlił. Radość gorliwego Pasterza byłaby zupełną, gdyby wszyscy ci wierni, którzy co tydzień gromadzili się w domu Bożym, częściej łączyli się z Panem Jezusem w Najświętszym Sakramencie. „Musimy, mówił on, pracować nad tem, aby zasłużyć na codzienną Komunię Ś-tą. Jeżeli nie możemy sakramentalnie przyjąć do naszej duszy naszego Pana, czyńmy to duchownie. Wszak to możemy uczynić każdej chwili, byle gorąca miłość opanowała nasze serce. Komunia Ś-ta jest tem dla duszy, czem powietrze dla przygasającego ognia“.

Ale lenistwo duchowne nie tak łatwo ustępuje, więc dusze nawet pobożne, które on chciał pociągnąć do Stołu Pańskiego, znajdowały coraz nowe ku temu przeszkody. Tak np. jeden mówił: „czuję się niegodnym—drugi: gdzie mi tam nędznemu, do tak wielkiej poufalości z Bogiem; albo wreszcie inny: chciałbym, ale zajęcia, kłopoty mi przeszkadzają“. Z jakimże zapalem odpierał te wymówki: „Komunikujcie, powtarzał nieustannie, idźcie do Jezusa, żyjcie Nim, aby żyć dla Niego! Nie mówcie, że zbyt wiele macie do roboty; bo czy Zbawiciel wasz nie powiedział: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, ja wam ulżę. Nie mówcie: niegodny jestem. To prawda, wszyscy jesteśmy niegodni, ale wszyscy Go potrzebujemy. On nie dla siebie, ale dla nas do nas przy-

chodzi. Gdyby zważał na naszą godność, wcaleby tego Sakramentu miłości nie ustanawiał! Nie mówcie: zbyt wiele mam nędzy — bo rozsądniejszym by mi się wydało, gdyby ktoś powiedział: zbyt chorym jestem, abym lekarza miał wzywać! Wszak wszelka żyjąca istota potrzebuje właściwego dla siebie pokarmu, inaczej grozi jej śmierć—a oto pokarmem waszej duszy: sam Bóg! Duszy nikt nie zasyci — tylko Bóg! Tylko Bóg jej wystarczyć może! W każdym domu macie miejsce, gdzie przechowywacie pożywienie—to spiżarnia. Kościół, to dom dusz waszych i tam też musi być odpowiednia spiżarnia. Czy widzicie to „Tabernakulum“? Gdyby was zapytano: Co to takiego? Wasze dusze niech odrzekną: to „Ciborium“, *) to spiżarnia nasza“.

Tak usilnym zachętom wszystko musiało ustąpić i częsta Komunia Ś-ta była w krótkim czasie w wielkim poszanowaniu. Żeby umocnić i utrwalić dobro już otrzymane, i aby utwierdzić jednych w częstej Komunii Ś-tej, a innych przykładem do niej pociągnąć, wskazane były odpowiednie bractwa. Pleban z Ars utworzył prawie jednocześnie Bractwo Różańca Św. dla kobiet i Bractwo Najśw. Sakramentu dla mężczyzn, którzy powinni byli, podług jego słów „być pierwszym do oddawania czci Jezusowi Chrystusowi w Najśw. Eucharystyi i w służeniu Bogu“.

Teraz nadszedł czas walki przeciw różnym nadużyciom. Sługa Boży rozpoczął ją z ufnością. Karczmy, uważał on za główne szańce szatana, z których wróg zbawienia czynił największe spustoszenia w jego winnicy, przeciwko więc karczmie przedewszystkiem wyteżył wszystkie swoje usiłowania. Z jaką wszakże roztropnością prowadził tę walkę, wiemy to z własnych słów jego. „Ja się nigdy nie gniwałem na moich parafian, nigdy im nawet nie robiłem wyrzutów. Ale słowa jego mia-

*) „Ciborium“ od wyrazu łacińskiego „Cibus“—pokarm.

ły wielką siłę, bo płynęły z miłości,—to też zwolna, ale jedna po drugiej—zamykano karczmy. Do zwycięstwa jednak zupełnego było jeszcze daleko! Ścięto chwast, ale korzeń jego pozostał. Tym korzeniem była chęć użycia—zmysłowości, która się pojawiła w namiętym upodobaniu, nietylko młodych, ale i starszych do tańców, do hulanek. To był szkopuł o który rozbijały się usiłowania odrodzenia parafii.

Ks. Vianney w konfesjonale i na ambonie powstawał z całą mocą na podobne marnowanie drogiego czasu, a nadto, na widoczne narażanie się na okazyję grzechu. Czasem w walce używał i żartobliwej formy. Tak np. pewnego razu odezwał się Proboszcz do swoich parafian: „Żal mi udających się na hulankę. Bo wiecie, moi bracia, co oni robią? Oto Anioła swego Stróża zostawiają za drzwiami, a wnet czart go zastępuje. Tym sposobem wkrótce znajduje się w izbie tanecznej tyłu czar-tów, ilu jest tancerzy”.

Zdania parafjan były podzielone; jedni radzili słuchać dobrego pasterza i niezasmucać go, inni sprzeciwiali się temu. Niektórym zdawało się po prostu niemożliwem, aby wyrzec się starego zwyczaju. W dzień Św. Syktusa, patrona parafii, młodzież, niezważając na upomnienia, chciała rozpocząć zabawę, lecz, o dziwo, dziewczęta prawie wszystkie odmówiły swego udziału — i młodzieńcy zmuszeni byli rozejść się do domów. Ks. Vianney był uszczęśliwiony. Radość swoją wyjawiał zgromadzonym na wieczornem nabożeństwie. Przemówił do nich tak serdecznie, że i sam się rozplakał i jego słuchacze. Po wyparciu szatana z pierwszego szanca, trzeba było uderzyć na drugi. Drugim tym szansem była poniewierka trzeciego przykazania Boskiego. Spoganizowana Francya podczas wielkiej rewolucyi prawie zapomniała o obowiązku święcenia dnia świętego. Ks. Vianney przez długi czas żadnego przedmiotu nie poruszał tak często i tak silnie—jak obowiązek święcenia niedzieli. „Pracujecie w niedzie-

lę, mówił, ale nie wiecie, że to co zarobicie, obraca się wam na winę duszy i ciała waszego”. Gdyby zapytano tych, którzy pracują w niedzielę: co wy robicie? Mogliby oni odpowiedzieć: sprzedajemy duszę dyabłu, Krzyżujemy Chrystusa i zapieramy się imienia chrześcijańskiego. Kiedy widzę takich, którzy orzą w niedzielę, zdaje mi się, że widzę zao-rzających duszę swoją do piekła. Ach! jak się oszukuje ten, kto chce coś zarobić w niedzielę! Sądzicie, że wszystko polega na tej pracy; ależ oto przychodzi choroba, przychodzi jakiś wypadek... Tak niewiele potrzeba: burza—grad, mróz. Wszak wszystko jest w rękę Boga. Może On ukarać kiedy chce i jak chce. Znam dwa pewne sposoby zostania żebrakiem; słuchajcie! „pracować w niedzielę i przywłaszczać sobie cudzą własność”.

Grad spustoszył jego Parafję. „Ojciec z puszczy”, jak go nazywano, nad tym boleje wypadkiem, lecz wy-ciąga z niego naukę dla swoich owieczek. Nie obawia się im powiedzieć: „Zbieraliście swoje plony, nie myśląc o Bogu, z którego łaski je macie, owszem większość was Go obraża. Bóg więc przez tę klęskę zdaje się do was mówić: Ja Was przekonam, że plony, które zbieracie, są moje, a wy Mnie zaniedbujecie. Choćbyście kryli się i uciekali — na-próżno — jeżeli będzie taka moja wola — wszędzie dosięgną Was — i straciecie wszystko”. Te i podobne przestrogi, przy każdym szczęśliwym, czy nie-szczęśliwym zdarzeniu powtarzane, miały wreszcie ten skutek, że ściśle świecenie niedzieli i dni świętych stało się powszechnem i tak ściśle zachowa-nem, że gdy nawet zboże spadało na pniu, lub siano nagliło o zbiór, nikt się o nic nie troszczył, skoro nadeszło uroczyste święto, lub niedziela. Ars zmieniło się do niepoznania. Nadużycia były stanowczo wytępione. Ks. Vianney starał się zapobiedz ich wznowieniu i dokonać ostatecznej porażki szatana. W tym duchu miewał kazania na wszystkich jubi-leuszach, które następowały dość licznie jedne za drugimi, w pierwszych latach jego pobytu w Ars.

Podczas gdy inni głosili Ewangelię i objaśniali ją swemi uwagami, On nalegał i prosił. Tak umiał poruszać serce swoich parafjan, że każdy pragnął być dobrym chrześcijaninem.

Wzgląd ludzki zwrócił się jakby na wspak t. j. że jak dawniej wstydzono się spełniać praktyki religijne, tak teraz wstydzonoby się ich zaniedbywać. Ars, nie było już dawnem Ars. Wiadomo jaką była ta parafja w czasie przybycia czcigodnego pasterza. Oto co opowiadał pewien naoczny świadek zwiedzający ją po sześciu latach potem: „Częstom przechadzałem się po polach i nigdy nie usłyszałem ani jednego przekleństwa, ani jednego nieprzyzwoitego wyrazu.

Pewnego dnia pochwalilem jednego z wieśniaków; odpowiedział mi z prostotą: „Nie jesteśmy lepsi od innych, ale wstydzilibyśmy się pozwalać sobie na coś niewłaściwego, mając tak blisko naszego „Świętego“. Na głos dzwonu południowego, zatrzymywali wszyscy roboty i odmawiali pobożnie „Anioł Pański“. Nikt nie widział tu owych gwałtownych scen, tak zwykłych tam, gdzie panuje pijaństwo. Często przystępowano do Sakramentu Najśw. Ciała i Krwi Pańskiej, a w wigilię każdego święta konfesjonały były obleżone. Już o godzinie 3 z rana kobiety i mężczyźni przychodzili modlić się do Kościoła. W niedzielę Kościół był zawsze przepełniony. Na Mszy Św., na nauce katechizmowej, na nieszpórach, na wieczornych modlitwach, napływ ludzi był tak wielki, że prawie się duszono, co podało Ks. Vinnney myśl powiększenia Kościoła, dobudowaniem kilku kaplic. Najpierw postawił kaplicę Św. Jana Chrzciciela, potem Św. Filomeny później Pana Jezusa i Aniołów Stróżów. Tak, naprawdę Ars, nie było tem samym Ars, a jedynym twórcą tej nadzwyczajnej przemiany, którą wszyscy nazywali cudem, był jeden dobry kapłan. Cóż mogło zastąpić parafii takiego pasterza? To też mieszkańcy Ars dowiedziawszy się w kwietniu 1820 r. o nominacji swego ukochanego „Świętego“

na Proboszcza do Salles, natychmiast udali się do Lijonu, do Wikaryusza Generalnego Ks. Courbon, który, widząc boleść, jaką sprawiła zamierzona zmiana, zdecydował się zostawić im uwielbionego pastarza. Jednak parafia Ars nie wystarczała dla gorliwości Ks. Vianney. Chciałby ogarnąć i oczyścić wszystkie dusze: więc był szczęśliwym, gdy na zaproszenie swoich współbraci mógł mieć kazania w ich parafjach. Przejeżdżał więc z jednego Kościoła do drugiego, z jednej okolicy do drugiej, a wszędzie bogaci i ubodzy, słuchając go czuli, że był narzędziem w rękę Bożem, przeznaczonem do ich nawrócenia. Wszyscy pragnęli wypowiadać się przed nim ze swoich grzechów i otaczali jego konfesjonał dniem i nocą.

Przebiegając wioski i miasteczka Proboszcz z Ars miał sposobność przekonać się zbliska, w jak oplakany stanie znajduje się wiele sierot, zwłaszcza dziewcząt opuszczonych. Biedne te istoty, zanim poznały ohydę występku, już zwykle zaciągały nąłóg jego. Widok podobnego upadku moralnego głęboko wzruszył serce Ks. Vianney, i skłonił go do obmyślenia ratunku, który mu odrazu zarysował się w kształcie schroniska, pod nazwą „Opatrzność“. Podług zwyczaju jego, projekt dojrzewał zwolna w rozważaniu i modlitwie, gdyż nigdy nie zrywał się zagnała dla dokonania dobrego dzieła. Najpierw upatrzył dwie najcnotliwsze i najroztropniejsze ze swoich parafjanek, któreby mogły zająć się doglądaniem i nauczaniem dziewczątek; następnie kupił za 20,000 franków, to jest za cały swój kapitał, nieruchomość, znajdującą się w bliskości probostwa, na końcu placu wioskowego. Lecz dom był za mały do swego przeznaczenia; trzeba było go powiększyć—a funduszów nie dostawało, więc fundator sam stanął do roboty. Widziano go — jak razem z robotnikami obciosywał i zwoził kamienie, rozrabiał wapno, słowem, nie cofnął się przed żadną pracą, boć to, mówił, dla biednych, w osobie których widział Pana Jezusa. Będąc misjonarzem maluczki, chciał też

być ich ojcem. „Opatrzność“ od r. 1825 mogła dać schronienie nie tylko dziewczynkom z Ars, które tam uczęszczały do szkoły, ale jeszcze około sześćdziesięciu sierotom, zebranych w okolicy.

W domu tym świątobliwy pleban pamiętał o wszystkim, tak pod względem materialnym, jak i duchowym, nie zaniedbując najmniejszego szczegółu. Co dzień, po obiedzie, udzielał swoim wychowankom nauki wiary i moralności i tak opanował ich serca, że po kilku miesiącach małe te poganki stawały się prawdziwymi chrześcijankami. Bywało że, czy to dla wynagrodzenia Bogu jakiegoś bluźnierstwa, czy też dla uproszenia szczególnej jakiej łaski, n. p. nawrócenia jakiegoś grzesznika, odprawiły one nowennę, a niekiedy noc całą przepędzały przed Najświętszym Sakramentem, nadto, poddawały się surowym umartwieniom i zwykle ostatecznie otrzymywały to, o co błagały. Prawie wszystkie wytrwały na obranej drodze, a opuszczając schronienie, stawały się doskonałymi służebniczkami Bożemi, a potem zaś zacnymi żonami i matkami rodzin. Wielkie, choć ciche cnoty, jakie sługa Boży krzewił w „Opatrzności“, przez swoje nauki i przykłady, nie mogły zaspokoić jego więcej, niż macierzyńskiego serca dla przybranych dzieci, chciał więc podjąć się obowiązku ich żywienia.

Znaczny wydatek schroniska wynosił od 6 do 7.000 franków, a Proboszcz z Ars nic nie posiadał. Gdzież znaleźć środki na te wydatki? Oszczędności osobiste, oto pierwsze źródło, w którym czerpał Ks. Vianney; odmawiał sobie wszystkiego na ubraniu iżywieniu, byle sierotom niezbywało na niczem. Opatrzność Boża, była drugim źródłem, które nie zawodziło. Ufność swoją bezwzględną w Bogu umiał wszczepić i w serca kierowniczek schroniska. Jednego dnia oznajmiono Ks. Vianney, że zapasy się wyczerpały i pozostało tylko trochę mąki. „Rozczyńcie ją“, odrzekł Proboszcz. „Ale nie możemy, bo zaledwie wystarczy na dwa bochenki chleba“ „Róbcie jak zawsze“. Posłuchano go na-

tychmiast, i w miarę jak mieszanie postępowało ciasto rosło tak dalece pod rękami robotnicy, że upieczono dziesięć bochenków chleba, każdy po 20 funtów. Innym razem zawiadomiono Proboszcza, że niema ani zboża, ani pieniędzy. Zaczął się wtedy modlić i wnet strych cały napelnił się masą pszenicy.

Wszyscy mieszkańcy Ars widzieli produkty i wino, które zapomocą cudu były rozmnożone w domu sierot. Ież to znówu razy Ks. Vianney znajdował u siebie pieniądze, których nie położył, lub otrzymywał sumę, której właśnie potrzebował. Dzieło „Opatrzności“ wzrastało; cnota panowała, wszechmocność Boża czyniła cuda, a jednak nie obeszło się i tam bez ciężkich przeciwności. Wśród kierowniczek zakładu powstał jakiś rozdzwięk, znikła dawna jedność i harmonia, poczęto wzajemnie się oskarżać, wdał się jakiś kwas, tak dalece, że sługa Boży z żalem ujrzał się zmuszonym usunąć pierwsze swoje pomocnice i zastąpić je Siostrami miłosierdzia od Św. Józefa z Boury.

Oto w zarysie obraz pierwszych sześciu lat działalności pasterskiej Ks. Vianney, skreślony na podstawie zeznań wiarogodnych, naocznych świadków i uczestników jego prac. Parafia nigdy pograżona w duchowym letargu i zmysłowych uciechach, co nikogo nawet nie raziło — budzi się do życia chrześcijańskiego; zatwardziali grzesznicy nawracają się i zamieniają się na gorliwych pokutników; sieroty opuszczone znajdują przytułek i opiekę. A twórcą tych cudownych zmian — to tylko skromny, ubogi, od wielu wzgardzony dla swej prostoty, Kapłan! Wprawdzie ludność miejscowa, przez niego uświęcona wielbi go i nie wacha się świętym nazywać, ale tymczasem on sam ma się za nędznego i niepożytecznego sługę i ze drżeniem mówi o swoim zbawieniu. „Gdybym był wiedział, co to znaczy być Księdzem, schroniłbym się do Kartuzów, lub Trapistów“. Dwukrotnie zamyślał opuścić Ars, aby się uwolnić od ciężaru urzędu pa-

sterskiego, uniknąć rozgłosu swoich cnót — i tej czci, jaka z każdym dniem wzrastała, a którą czuł się jakby pogiębiony. Nie mogąc inaczej, powiedział: że „pozostaje mu oplakiwać swe życie, jako biednego Proboszcza!”

III.

Krzyże i świętobliwość.

Każde apostołstwo musi być i męczeństwem, a każdy Kapłan, posłany od Boga dla nawracania ludów, musi być ukrzyżowany z Jezusem Chrystusem. Ks. Vianney wiedział o tem i przypominał to jednemu z odwiedzających go przyjaciół, który skarżył się na bezowocność wszelkich środków, jakich używał dla odrodzenia swej Parafii. „Modliłeś się, mówił mu Ks. Vianney, płakałeś... to niedosyć, ale czy pościłeś, czy czuwałeś, czy za pościel miałeś twarde deski, czy używałeś dyscypliny? Jeżeli tego nie robiłeś, nie myśl, żeś wszystko zrobił”. Pleban z Ars nie zaniedbywał żadnego z tych ćwiczeń, które zalecał innym. Módlł się za grzeszników, owszem robił on daleko więcej, bo poświęcał siebie dla nich; stąd pochodziło cudowne powodzenie jego apostołstwa. Pierwszym Krzyżem, do którego on z miłością się garnał była pokuta, drugim było ubóstwo. Izba, którą od czterdziestu lat zamieszkiwał, bardziej była ogolocołą, niż schronienie nędzarza.

Nie można było patrzeć bez uczucia litości na lichy jego tapczan, starą szafę, lub podobny jej stół, a na nim naczynia gliniane — co stanowiło całe umeblowanie mieszkania sługi Bożego. Jedną miał tylko sutannę, a ta była zwykle całkiem znoszona, polatana i ledwo się kupy trzymająca, trzewiki wyrudziały, a stary kapelusz bywał przedmiotem żartów jego współbraci. Skromna ojcowizna Ks. Vianney użyta była na fundację schroniska dla sierot i skutkiem tego, że dla siebie nic nie pozostawił,

zbywało mu na najpotrzebniejszych nawet rzeczach. Niemiał on nic — i jutro tak go mało obchodziło, że niektóre pobożne osoby uważały sobie za obowiązek pamiętać o jego potrzebach. Z pociechą przyjmował jałmużnę w postaci ubrania — byle ono było jak najprostrze, lub pożywienie z warunkiem, aby nie miało w sobie nic wyszukanego. Wszystko co znajdowało się na plebanii uważał za własność biedaków. Do nich należała: jego pensya, jego bielizna, jego ubranie...

W ubogich widział on przedstawicieli Jezusa Chrystusa — i jako takich otaczał poszanowaniem i lękał się, by któregokolwiek z nich nie zrazić do siebie. Ks. Vianney nic nie posiadał, nic dla siebie nie zaoszczędzał; a jednak ile pięknych czynów dokonał ten biedak ewangeliczny! Ile potrzebującym dopomagał! Nie wyczerpanem źródłem, z którego czerpał — było własne jego ubóstwo. Na jego ręce płynęły znaczne sumy z całej Francji i z zagranicy, ponieważ wiadano, że dla siebie o nic nie dba, niczego nie potrzebuje. Obok ogolocenia się ze wszystkiego, co nawet przy najmniejszych wymaganiach uważane bywa za niezbędne, Proboszcz z Ars prowadził życie tak surowo pokutnicze, że podług ogólnego zdania tych, co go znali, da się tylko porównać z surowością życia dawnych pokutników pustyni. Bo i jakież to było życie? Oto nieustanny post, który zaostrzał do tego stopnia, że tylko trzy razy tygodniowo posilał się ladajako. Posiłek ten stanowiły zwykle jarzyny, czasem trzy naleśniki, a najczęściej chleb razowy, nabyty od żebraków, wzbudzający raczej odrzę, niż zachętę do jedzenia. Posłanie jego to trocha słomy, a gdy mu chodziło o wyjednanie u Boga jakiej szczególnej łaski, n. p. trudnego nawrócenia, to śpi na desce, lub gołej ziemi. Jego odpoczynek, to sen dwugodzinny, nigdy niewczesniejszy, niż od północy. Lecz czyż można nazwać odpoczynkiem sen, przerywany najmniej cztery razy na godzinę kaszlem, częstą gorączką, a wreszcie napadami

dyabla, które trwały przeszło 30 ostatnich lat życia! Wartość podobnie umartwionego życia, — podnosi jeszcze postanowienie nieszukania nigdy i w niczem swego zadowolenia i nieskarżenia się nigdy na nic i na nikogo.

Dodajmy, że ten wielki asceta, bynajmniej nie oddawał się tylko kontemplacji, ale pędził życie najczynniejsze, najpracowitsze. Bezustannie otoczony był natrętnym tłumem, który ciągle czegoś od niego potrzebował. Pozatem dość powiedzieć, że dzień w dzień przesiadywał po ośmnaście godzin w konfesjonale, a opuszczając go czuł się jakby zdrętwiałym. Najsilniejszy organizm nie mógłby się oprzeć podobnym wysiłkom. To też nasz święty czuł się ciągle chorym, wyczerpanym. Cierpiał ogromne bóle wewnętrzne, oraz bóle głowy—które przyprowadzały go nieraz do utraty przytomności. Dwadzieścia razy był poważnie chory, i dwadzieścia razy ku wszelkiemu zdziwieniu lekarzy, wracał do względnego zdrowia. A gdy mu robiono uwagi, że przekracza granice surowości, odpowiadał, że nie znano go dobrze i że grzechy jego wymagały takiego postępowania. Trzeba dodać, że prócz wzmiankowanych surowości, umartwiał jeszcze swoje ciało włosiennicą, łańcuchem i żelazną dyscypliną, która przez długie użycie błyszczała, jak srebrna. Słowem nietylko, stosownie do słów Chrystusa Pana, zaparł się siebie, ale i krzyż swój z weselem ducha niósł za swoim Boskim Mistrzem. A gdy ubolewano nad nim mawiał: „Mówicie, że to ciężkie i nieznośne takie życie, przeczę temu; owszem zapewniam was, że podobne życie jest źródłem niewymownych pociech i słodyczy. Lecz cierpiąc, trzeba kochać, trzeba krzyż nie ciągnąć za sobą, ale wiaść go w oba ręce i przycisnąć do serca—inaczej nie można wydobyć z niego ukrytych słodyczy“.

Do surowości pokuty, którą Proboszcz z Ars sam dobrowolnie sobie nałożył, dołączyły się udęczenia, jakich sobie wcale nie życzył, a jakie, jak

to już wspominaliśmy, pochodziły od szatna. Od tej chwili cudowność weszła w tryb codziennego jego życia.

W zimie r. 1825 dyabeł rozpoczął jawną walkę z błogosławionym Kapłanem, walkę która powtarzała się co noc, aż do r. 1856. Gdy Proboszcz z Ars chciał zasnąć, jego nieprzyjaciel dawał znak o swojej obecności, trzema uderzeniami, słyszanemi w dziedzińcu Plebanii, oraz przez bezecne wymysły. Następnie wchodził i sprawiał piekielny hałas na schodach. Wdarłszy się do pokoju, plądrował wszystko, przesuwał meble, uderzał w rozmaite brzęczące przedmioty. To wbijał z hałasem gwoździe, to szorował podłogę, to piłował sufit, to rozbijał deski, to naśladował przemarsz wojsk, to turkot wozu na suficie, to przejście trzody, to przejazd galopującej konnicy, skaczącego konia; to znów udawał śpiew słowika, mruczenie niedźwiedzia, to napad rozhukanego zwierzęcia—które rzucało się na Ks. Vianney. Niekiedy zjawiał się w postaci psa, z wytrzeszczonymi ślepiami i najeżoną sierścią, lub niepokoił biednego plebana — jakimś złowrogim blaskiem; czasem przesuwał łóżko po pokoju, lub napelniał powietrze wstrętnymi niedoperzami.

Zuchwalstwo swoje posuwał do tego stopnia, że zrzucał czcigodnego Kapłana z jego posłania na ziemię, lub usiłował go podpalić. Te napaści, nietylko, niezwalczały ks. Vianney, lecz wzmagaly jego zwycięstwo. Znakiem krzyża ś-go, odpędzał sługa Boży złego ducha, a gdy chciał zmusić go do ucieczki, wystarczało, gdy rzekł: „Mój Boże, składam Ci ofiarę z mego snu dla nawrócenia grzeszników“. Czem bardziej był osłabiony na ciele, tem więcej wzrastała moc jego ducha; czem bardziej był kuszony, tem bardziej stawał się świętym, tak świętym, że na jego rozkaz djabeł opuszczał ciało opętanego i uciekał przed nim, wołając: „Ach! jak cierpię przez ciebie; gdyby się znalazło trzech takich, jak ty, moje królestwo by-

łoby zniszczone^{*)}. Bardzo jest naturalnem, że zli ludzie, którzy świadomie czy nieświadomie są sługami szatana, usilnie popierali roboty swego pana. Oni to obsypywali św. Kapłana wszelkiego rodzaju obelgami, pogardą i potwarzami. Zdumiewające są drogi Boże. Po ludzku, potwarze te miały na celu zohydzenie pielgrzymek do Ars — a po Bożemu — przyczyniły się one najbardziej do ich rozstawienia. Były chwile, a nawet lata całe, że nie tylko bezbożni, ale i ci, którzy mieli się za prawowiernych, których było obowiązkiem bronić świątobliwego Kapłana, potępiali go. Zdawało się im, że proboszcz z Ars kompromituje swój stan, że jest niegodzien ich towarzystwa. Czyż mógł być cięższy krzyż? Przyszło do tego, że ks. Vianney spodziewał się każdej chwili, że będzie wyrzucony z probostwa, że skazany będzie na dożywotnie więzienie. Wśród takich obaw, wśród takich obelg, trwających całe lat 5, proboszcz z Ars nie poddawał się nigdy smutkowi, ani zniechęceniu. On doskonale bowiem umorzył w sobie miłość własną i wszelką próżność, tak, że ani pomyślał, aby w jakikolwiek sposób bronić się, lub uniewinniać. Zapamiętali jego przeciwnicy podawali skargi do miejscowego Biskupa, a on, gotów poprzeć ich oskarżenia, ale nie dał się nakłonić do podpisania obrony, którą przygotował jeden z jego przyjaciół. Pełen najgłębszej pokory, za nic sobie ważył,

^{*)} Tych, którym wdawanie się osobiste szatana, w sprawy ludzkie wydaje się niemożliwem, odsyłam do niewątpliwych faktów, stwierdzonych w żywotach wielu świętych kanoizowanych, jak np. w żywocie śś. Antoniego Pustelnika, Hilaryona, św. Benedykta, św. Franciszka Seraf., św. Antoniego Pad., św. Piotra z Alkantary, św. Teresy i t. p.; odsyłam do ksiąg Starego i Nowego Testamentu, a między innymi do księgi „Job“ (ks. I i II) i do Ewangelii, gdzie opisane kuszenie Pana Jezusa na puszcy. Oczywiście, moc szatana jest ograniczona i bez dopuszczenia Bożego nie on uczynić nie może. Jeżeli zaś Bóg dopuszcza zło materialne — to zawsze ma na celu wyższe dobro moralne.

wszelkie poniżenia; widział on tylko swoje niedoskonałości i sądził, że przeciwnicy jego, wytykając błędy — oddają mu prawdziwą usługę, z której, ubolewał, że nie umie należycie korzystać. Jednak, jakże cudowny miał wnet nastąpić zwrot rzeczy! O ile ks. Vianney chciał się bardziej poniżyć, o tyle ludzie, uznawszy nareszcie swoją pomyłkę, stawali się go uczyć. Biskup (Devie) ogłosił go człowiekiem oświeconym z wysokości, prawdziwym świętym. Kler i społeczeństwo katolickie — przy każdej sposobności, uznają w nim prawdziwą cnotę i wyrażają cześć najgłębszą. Zaroiło się w Ars. Zewsząd tłoczyły się tłumy. Każdy chciał przynajmniej ujrzeć świętego proboszcza, dotknąć się jego szaty, usłyszeć choć słówko z ust jego. A cóż się dzieje z tym niedawno wzgardzonym i prześladowanym a teraz powszechnie sławionym i podziwianym Kapłanem? Dziwne drogi Boże! Widoctwem jest, że, aby ten wierny uczeń stał się zupełnie podobnym do Mistrza i Zbawiciela swego, trzeba było ostatnich — najdotkliwszych, bo boleści ducha, podobnych do boleści Chrystusa w Ogrójcu, wyciskających z oblicza jego pot krwawy! Były to nieopisane udręczenia wewnętrzne, pochodzące z bojaźni sądów Bożych, z trwogi przed potępieniem! Ale powiecie, jak można było tak zapomnieć o swoich zasługach, jak można do tego stopnia zwątpić o sobie? Oto, odpowiadamy, ta dusza, pełna pokory, nie nadawała swoim dobrym uczynkom żadnej wartości, bo podług niego, nie były one w żadnym stosunku, do odbieranych łask, w stosunku do świętości, której on pragnął osiągnąć. Przejęty temi uczuciami, uznawał się winnym mnóstwa straconych darów Bożych, i prosił tylko Boga, aby nie umarł bez doskonałej pokuty.

W maju 1843 r. zapadł na zapalenie płuc; lekarze osądzili stan jego za beznadziejny, a on sam, widząc się na progu wieczności, zażądał Wijatyku i ostatniego namaszczenia Olejami świętymi. Prze-

rażony, błagał św. Filomeny, aby go uratowała, choćby za pomocą cudu. Święta Patronka rzeczywiście uzdrowiła go, a nawet mu się objawiła. Wtedy zamyślał schronić się do Trapistów, lub Kartuzów i tam oplakiwać nędzne swoje życie i starać się, aby Bóg raczył się nad nim zmiłować. Dwukrotnie opuszczał Ars, i ani pośrednictwa przyjaciół, ani błagania parafian nie zdołałyby skłonić go do zaniechania zamiaru, gdyby sam Bóg nie oświecił go widzeniem, że wola Jego było, aby pozostał na miejscu i dalej pracował nad zbawieniem dusz, gdyż wyrwać dusze od potępienia, to najlepsze dzieło pokuty. Czcigodny pleban kochał Boga miłością niezmiernie żywą i czułą; stąd ten dar łez, których źródło nigdy w oczach jego nie wysychało, stąd ta nieustanna modlitwa, która utrzymywała go w ciągłym zjednoczeniu z Bogiem i czyniła mu jasnymi aż do oczywistości nawet wyższe tajemnice wiary; stąd to postanowienie, aby wszystko robić, wszystko cierpieć, jedynie dla umiłowanego Boskiego swego Mistrza, i aby nie zaniedbywać żadnej sposobności do postępu w coraz wyższej doskonałości. Stąd też pochodził ten żar modlitwy, gdy był u stóp Najśw. Sakramentu. Jego nabożeństwo do Boskiej Eucharystyi było zdumiewające. Gdy mówił o tej Boskiej tajemnicy serce jego zdawało się rozplýwać w uniesieniu wdzięczności, słowa jego wtedy pełne myśli i uczucia zdawały się promieniować miłością, która też ogarniała i słuchaczy. Wszyscy, którzy go widzieli przy ołtarzu, byli uderzeni jego wzrokiem, jego uśmiechem i byli pewni, że dusza jego wpatruje się w Boga i rozmawia z Nim według tych słów, które wyrwały się mu z ust: „Są kapłani, którzy widzą codziennie podczas Mszy ś-ej Jezusa Chrystusa“.

Czyż nie stwierdził sam, że z rąk jego wysuwała się Najśw. Hostya, aby spocząć w ustach komunikujących? Stąd pochodziła też jego cześć dla przyjaciół Bożych, dla ś-ej Filomeny, dla której

miął szczególne nabożeństwo, do ś-go Jana Chrzciciela, do św. Józefa i do dusz, w czyściu zostających, a przedewszystkiem do Niepokalanie Poczętej Dziewicy, Maryi. Stąd wreszcie jego zapal niestygający do ratowania dusz grzeszników. On kochał ich tak głęboką miłością, że nieustannie modlił się za nich i poświęcał im wszystkie siły i całe życie.

Zakończymy ten szkic wewnętrznego życia proboszcza z Ars, wzmianką o zaletach jego charakteru, które przy promieniujących jego cnotach, o których już mówiliśmy, zapewne zblednąć muszą, nie mniej jednak były podziwiane przy tych, którzy mieli szczęście być z nim w zażyłych stosunkach. Przedewszystkiem— w zwykłym jego postępowaniu uderzała dziwna słodycz i prostota. Zawsze uprzejmy, równy, pogodny — pociągał wszystkich dziwnym wdziękiem, którzy do niego się zbliżali. Widocznie było to w zamiarach Opatrzności, aby ów syn wieśniaczy z Dardilly, ów pastuszek w latach chłopięcych, ów potem skromny pleban z Ars, został wzorem duchowieństwa, a zwłaszcza proboszczów tego wieku, aby pokazać ludziom światowym, czem jest prawdziwy Kapłan Chrystusowy.

IV. Pielgrzymki.

Ks. Vianney był pasterzem nie tylko swojej parafii, ale można powiedzieć, że był on poniekąd Apostołem powszechnym swego wieku. Dusze zewsząd garnęły się do niego. Lud, zwabiony rozgłosem jego cnót i cudów, podążał zdaleka, aby go słyszeć, aby go widzieć. Napływ pielgrzymów w ciągu trzydziestu lat, był tak nadzwyczajny, że tylko działaniem nadziemskim można go było wytłomaczyć. Pielgrzymki, rozpoczęte w r. 1826, wrażały tak szybko, że od r. 1835 po 80,000 cudzoziemców przybywało rocznie, a trzeba nadmienić, że kolei żelaznych wtedy jeszcze nie było, więc

podróże były bardzo uciążliwe: wózkami lub pieszo. W tym tłumie znajdowali się przedstawiciele różnych krajów, różnych stanów i różnego wieku. Widziano tam poetów (takich, jak Jasmin); misjonarzy zamorskich, (takich, jak Marceau); założycieli religijnych zgromadzeń (jak Ojciec Muart i O. Pé-tétot); słynnych nawróconych — jak O. Herman¹⁾; kaznodziejów, jak OO. Lacordaire²⁾, Combalat³⁾, Deschamps⁴⁾; biskupów — jak Kardynał de Bonald⁵⁾ i Biskup Dupanloup⁶⁾.

I ci wszyscy dostojni pielgrzymi odchodzili z Ars pełni zbudowania i zachwytu dla jego proboszcza. „Ten człowiek, mówili, daleko przewyższa swoją sławę, która nas tu ściągnęła. Zdaje się nam, że nigdzie jak tu, niebyliśmy tak blisko Boga“. Od czasu rozpoczęcia pielgrzymek, życie służby Bożego staje się jednostajne, gdyż wszędzie dnie i godziny płyną mu w jednostajnych pracach i zajęciach. Pleban z Ars wychodzi ze swego pokoju o godzinie 12 w nocy i zasiada zaraz do konfesyonału. Kościół zapelnia się w mgnieniu oka, a tłum, cisnący się, ustawia się w wskazanym porządku, i każdy tem pilniej trzyma się swojej kolejki, że nieraz musi czekać dzień lub dwa dni, zanim zdoła dostać się i uklęknąć u stóp świątobliwego Kapłana. Penitenci następują jedni po drugich. O szóstej, lub siódmej godzinie z rana — stosownie do pory roku, ks. Vianney zawiesza na pół godziny tę ciężką służbę; idzie do ołtarza, a odprawiawszy Mszę św., wraca do wiernych, którzy go oczekują przy konfesyonałach i, słucha dalej spowiedzi. O godzinie 11 wstaje i przeszedłszy wśród tłumy, ukazując się na ambonie, aby rozpocząć codzienną naukę, którą nazywają katechizmem. Obe-

¹⁾ Słynny muzyk — z żyda — zakonnik karmelita. ²⁾ Dominikanin, jeden z największych kaznodziejów naszych czasów. ³⁾ Kaznodzieja króla francuzk., Karola X-go. ⁴⁾ Oratoryanin, ostatecznie Arcybiskup Madeliński w Belgii. ⁵⁾ Arcybiskup Lijoński. ⁶⁾ Sławny Biskup Orleański.

eni z natężonym wzrokiem wpatrują się weń. Cała jego postać jest uosobieniem świątobliwości; jego wątle i przygarbione ciało podobne jest raczej do cienia; twarz przerażająco chudą ożywiają oczy, pełne słodocy, ale też i wilgotne od łez, które roni — słuchając tyłu boleśnych wyznań. Gdy mówi, głos bywa przytłumiony, mowa niewygladzona, a jednak jak jest porywająca, jak przekonywująca! Dzwon na „Anioł Pański“ w południe kładzie kres natchnionym słowom — i wtedy schodzi z ambony, aby udać się do siebie i przyjąć nędzny posiłek, dla podtrzymania sił i przedłużenia swej ofiarności. Ale tłum go wyprzedza. Z trudem dostaje się do progu kościoła, tłum napiera i gdyby nie pomoc dwóch stróżów, udusiłby go niezawodnie. Każdy chce go widzieć, z nim mówić, otrzymać radę, błogosławieństwo. Nareszcie jest sam. Posilając się, czyta liczne korespondencje, której stos złożono na jego stole. Nie podobna, aby przeczytał wszystkie te listy, zleca więc to ks. wikaryuszowi, który pracuje z nim od 1833 r. Najpierw ks. Raymond, później ks. Toccanier, a czasem wyręczają go ks. misjonarze dyecezyalni, którzy często tu przybywali, chcąc mu pomódz w pracy. Po kilku minutach posiłek proboszcza skończony. Przed godziną 1-ą zajmuje on znów miejsce w konfesyonałach, gdzie zostaje do wieczora. Kiedy zaczyna się ściemniać, dzwon wzywa na modlitwę, na którą śpieszą miejscowi i obcy wierni. Ks. Vianney odmawia głośno modlitwy wieczorne, ale głos jego zmęczony całodziennym wytężeniem. Modlitwa ta kończy dzień: w lecie o godzinie 9-ej, w zimie o 8-ej.

Sługa Boży wraca do swojego mieszkania, wśród dwóch szeregów, klęczących wiernych i zaczyna pacierze kapłańskie, wypełniające resztę czasu przed spoczynkiem. Ten wzniosły dramat miłości powtarzał się codziennie od północy w przeciągu trzydziestu lat, a główny bohater nie okazał nigdy śladu zniecierpliwienia, niechęci lub zmęcze-

nia moralnego. Bóg tylko może zoprowadzić człowieka do takiej potęgi czynu. Ale kto są owi pielgrzymi, którzy obarczają podobnym ciężarem proboszcza z Ars? To są chorzy, którzy za jego pośrednictwem pragną odzyskania zdrowie; to są kulawi, paralitycy, ociemniałi, opętani i t. p. biedacy. Mnóstwo spełnionych cudów ożywia ich wiarę, napelnia ufnością w potęgę modlitwy ks. Vianney, do tego stopnia, że jeden z nich woła: „Ks. proboszczu, rzeknij tylko: ja chcę, a będziemy uleczeni“. Zamiast odpowiedzi, ks. Vianney, wysłuchawszy ich spowiedzi, odsyła, aby się modlili w kaplicy św. Filomeny. Tu właśnie dzieją się cuda. Każdy, kto doznał nadzwyczajnej łaski, pełen wzruszenia wybucha dziękczynieniem dla códo-twórcy, a on w swojej pokorze, zawstydzony, skarży się swojej patronce: „Święta Filomeno, woła, uzdrów tych chorych u siebie, a jeżeli dajesz mi tę łaskę, niechże ona będzie w tajemnicy“. Ale święta — bynajmniej, nie spełnia tych życzeń. Sprawy prywatne, sprawy ogólne, sprawy bieżące, sprawy wieczne, wszystko poddają pod sąd ks. Vianney, a ten kapłan oddany rozmyślaniu, nie tylko, jak prorok, odkrywa przyszłość i odsłania tajemnice Boskie, ale jeszcze natychmiast rozstrzyga najmądrzej i najpraktyczniej kwestye najtrudniejsze.

Zwykle ludzie muszą się namyślać, proboszcz z Ars nie waha się nigdy i decyduje bez namysłu, widocznie czyni to z natchnienia Bożego. Kto są ci pielgrzymi, którzy padają na kolana przed ks. Vianney? To są grzesznicy nawróceni, a liczba ich jest olbrzymia. Najbardziej występne dusze oczyszczają się tu pod wpływem świątobliwego Kapłana. Zdaje się, że nikt z przybyłych tu nie zdolny jest oprzeć się potędze zadośćuczynienia — jakie on ofiaruje Bogu za nich i za ich występki. Bo i jakże cudowne były te nawrócenia! Wielu z pomiędzy tych grzeszników przyszło do Ars bez żadnej wiary, poprostu z ciekawości. Chcieli oni

ze złośliwą nieufnością wypróbować mądrość i ducha prorockiego ks. Vianney i z takim usposobieniem klękali u stóp jego. Lecz cóż się działo? Oto ciekawość ich przemieniała się w przerażenie. Mąż Boży odkrywał im najtajniejsze przewinienia. I tu właśnie jest główny tytuł sławy proboszcza z Ars! On bowiem niezbitie wskazał, że spowiedź jest gruntownym środkiem na cierpienia duszy; on w pojęciach wielu spowiedzi przywrócił dawną powagę; on unicestwił wszelkie przeciwko niej powierzchowne zarzuty mędrków, i rzec można, pomścił w wspaniałym sposobie wszelkie obelgi niedowiarków.

Ale tymczasem czas robi swoje, i podczas, gdy mąż Boży sprawia cuda, i gdy ten nadzwyczajny człowiek, który dla dobra Kościoła, jakby się zdawało — nie powinienby nigdy umierać — zgaś 4 sierpnia 1859 r.

Proboszcz z Ars przestając żyć, nie przestał okazywać nam swojej miłości. Jego kości prorokują. U jego mogiły kulawi odzyskują władzę w nogach, język niemych się rozwiązuje, oczy ociemniałych ożywiają się, najwystępniejsi grzesznicy oczyszczają się ze swoich zmas grzechowych, pielgrzymi, ciągle, choć może mniej liczni, jak dawniej, napływają. Duch święty otacza wciąż prochy sługi swego, a to, aby okazać jak wielką i Boską jest rzeczą dobry kapłan.

Papież, Pius IX, ogłosił proboszcza z Ars „Czcigodnym“, a Leon XIII zaliczył w poczet błogosławionych, tego, którego bezustannie czczono w cichości. Najwyższy Pasterz kościoła podniósł na ołtarze, tego plebana, którego życie jest wzorem i obroną kleru naszych czasów. Rzut oka na dzieła i cuda ks. Vianney wystarczą, aby wykazać, że sam Bóg naznacza pasterzy do oświecenia ludów, i że sam Bóg, składa w ich ręce wiarę i obyczaje narodów.

19335
BIBLIOTEKA
W BIAŁYSTOKU

19335

Księgarnia „Polaka-Katolika”

W WARSZAWIE

Krakowskie-Przedmieście 71

Dotychczas rozpowszechniła tanich broszur,
napisanych w duchu religijno-moralnym,
przeszło osiem milionów.

Posiada na składzie broszury agitacyjne z chwili
bieżącej.

Rozszerza odezwy w obronie wiary i moralności.

Zaopatruje czytelnie parafialne i gminne w po-
wieści i czasopisma.

==== Ceny broszur od 3 do 20 kop. ====

Przy większym zakupie daje się rabat 25.

SWIEŻO WYDANE BROSZURY:

OJCIEC NARODU POLSKIEGO BENE-
DYKT XV PAPIEŻ. Cena 10 kop.

PASTERZE DYECEZYJALNI, Obecni Bisku-
pi w Królestwie Polskiem. Cena 10 kop.

MÓDLICIE SIĘ O DOBRYCH KAPŁANÓW
i Przyczyniajcie się do ich wychowania.
Cena 5 kop.

CZY PANSZCZYŻNA WRÓCI? Cena 10 k